PISEMKO KUŹNICZANEK
MIESIĘCZNIK

Rok VI. Nr. 7 Prenumerata rocz. 4·50 Lipiec 1926

O Miłości Ojczyzny.

Ujrzawszy miasto Jerozolimę
płakał nad niem.
Łuk. XIX. 41

W tym ustępie ewangelji Chr. Pan daje nam cudowny przykład miłości Ojczyzny, bo choć przyszedł wszystkich zbawić, ukochał w sposób szczególny swój kraj i naród.

I my, idąc za przykładem Chr. P. powinniśmy nie ograniczając miłości dla drugich, mieć ją przedewszystkiem dla ziomków i Ojczyzny.

Nieraz dawaliśmy przy sposobności dowody tej miłości, ale czy nie w sposób raczej powierzchowny, wybierając co łatwiejsze, co nas mniej kosztowało.

Dobrze zrozumiana miłość Ojczyzny jest tylko zastosowaniem miłości bliźniego, bo przykazanie miłości bliźniego nie wymaga, abyśmy wszystkich zarówno kochali, dopuszcza stopniowanie. Nie można kochać osoby obcej tak, jak się kocha rodziców, lub tych z którymi w bliskich żyjemy stosunkach.

Przykazanie miłości polega na tem, aby miłować dla Boga, a nie dla siebie. P. Jezus nazwał je nowem, bo St. Test, mówił wyraźnie o miłości Boga, a mało o miłości bliźniego. Dopiero Chr. Pan silnie podkreślił miłość bliźniego, nazywając ją swojem przykazaniem, mówiąc, że to będzie znak, po którym poznawać będą Jego uczniów. A przy ostatniej wieczerzy prosił Ojca, aby uczniowie Jego jedno z Nim byli, tak jak On z Ojcem jedno jest.

Uczył też, że cokolwiek uczynimy dla jednego z bliźnich, to dla Niego samego uczynimy. A w kazaniu na górze powiedział: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, módlcie się za prześladujących was. Albowiem jeśli miłujecie te, co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie? a jeślibyście pozdrawiali bracią waszą, azaż poganie tego nie czynią?

Może nie mamy nieprzyjaciół i takich którzyby nas prześladowali, ale mamy w naszem otoczeniu osoby, których nie lubimy, albo które nas nie lubią; względem tych osób należy mieć miłość bliźniego w sercu i nazewnątrz ją okazywać, ze względu na Boga, bo dusza ich stworzona jest na obraz i podobieństwo boże, przeznaczona do szczęścia wiecznego. Wówczas łatwo nam będzie urazy darować.

Niema dwóch cnót, jest tylko jedna cnota miłości. Niektórzy mówią: „ta osoba choć nie wierząca, a dużo dobrego dla drugich robi". Ale miłość nie wynikająca z wiary, nie jest prawdziwą miłością bliźniego, bo ta życzy bliźniemu największego dobra, a tem dobrem jest szczęście wieczne. Osoby nie wierzące do tego szczęścia doprowadzić

nie mogą, nawet nieraz od niego odwodzą. Tylko ten, kto Boga kocha, może skutecznie bliźniemu służyć, bo wie na czem istotne dobro bliźniego polega.

U nas w kraju tyle kłótni, niesnasek. Pod pokrywką miłości Ojczyzny, każdy szuka swojej korzyści, chce przeprowadzić swoje zapatrywania. Jaką wielką siłę, jaką spoistość mielibyśmy, gdyby nasza miłość Ojczyzny opierała się na tak pojętej miłości bliźniego.

Idźmy za wezwaniem Chr. P. a pełniąc cnotę miłości bliźniego, najskuteczniej służyć będziemy Ojczyźnie i ziomkom naszym.

(Z kazania O. Woronieckiego).

Z życia P. Jenerałowej (młodość) 13

Nie na kupiectwie ograniczała się działalność P. Marcinkowskiego. Założył on towarzystwo „Naukowej Pomocy" dla kształcenia polskiej uboższej młodzieży. Użył wpływu swego, ażeby całe wielkopolskie obywatelstwo opodatkować na korzyść tej instytucji regularnemi rocznemi datkami.

I tak kiedy szlachta i magnaci bankrutują, za przyczyną „Pomocy Naukowej" nowa się tworzy warstwa obywateli dla służby i obrony kraju.

Ale i na tych wielkich zamiarach nie kończyła się działalność P. M Dla niego w kraju wszystko było jakby kapitałem, który krajowi procentować powinien. Myśmy się na niego patrzyli jak w tęczę, ale i on nas nie pomijał; nikt nie był za mały, za słaby i nieudolny, ażeby się ku niemu nie schylił, by go podnieść.

Czasami jak Ojciec coś takiego powiedział, co mogło dać do zrozumienia, że my jeszcze za nic się nie liczymy, P. M. swoim jakby natchnionym wzrokiem spojrzał w górę i mawiał: „Nie, a któżby się za coś liczył? wszak to nasza przyszła Polska".

Razu jednego spojrzał siostrze w oczy i powiedział jej, nacisk kładąc na znaczenie naszego nazwiska: „Działaj panno Działyńska, bo masz nazwisko potemu".

Innym razem przechodząc przez pokój, w którym pisałam polskie wypracowanie o jakiejś biednej rodzinie, spojrzał na mój zeszyt i widząc wyraz p o k ó j odnoszący się do określenia siedziby tych nędzarzy, powiedział: „to nie pokój, bogaci mają pokoje, biedni mają izby" i zaczął mi różnicę tłumaczyć w taki sposób, że się mało nie rozpłakałam.

Innego razu mówi memu bratu: „No ty Działyński, daj mi słowo, że nie będziesz u żydów i niemców kupował bez koniecznej i gwałtownej potrzeby". Brat się nie kazał o to prosić, a ja choć nieproszona, słowo swoje przydałam do jego przyrzeczenia i dotrzymaliśmy tego wiernie i przez całe życie.

Takiemi i podobnemi słowami rozsadzał nam piersi chęcią służenia krajowi. Mnie na domiar mawiał, że się robię podobną do ciotki Klaudyny Potockiej i że to nielada jaki obowiązek na mnie nakłada.

Dość, że te wszystkie nieocenione wpływy, działały w duszach naszych, a przynajmniej mojej, jakby na uratowanie od tego wszystkiego, co skądinąd było tak niebezpiecznem. Ale walka nieustanna,

jaka powstawała w duszy wśród sprzecznych wpływów i prądów, nie odbywała się bez cierpienia. Cierpienia w istocie i z innych stron nie brakowało.

Na początku roku 1846 Ojciec pojechał dla interesów do Oleszyc. Wśród tak życzliwej i przywiązanej do niego ludności, gdzie oddawna zatarte były doszczętu ślady austryjackich wpływów i austryjackiego działania, gdzie ludność cała wraz z proboszczami łacińskimi i ruskimi żyła z dworem w najlepszych stosunkach, prawie rodzinnych, nie domyślał się Ojciec jakie mordy i pożogi gotowały się dokoła, ani że wracając do Poznania trzeba mu będzie brnąć przez kałuże polskiej krwi. A cbociaż jakieś wieści o tem krążyć zaczynały, któż mógł przypuścić, któż dzisiaj uwierzyć zdoła, że rzezie galicyjskie 46-go roku były upragnionym plonem zbieranym przez rząd austryjacki z długoletniej jego pracy i siejby.

Nieustanne i umiejętne podżeganie ludności przeciwko duchowieństwu i szlachcie, nareszcie zaczęło wydawać dojrzałe owoce.

Utrudnienie wszelkiej nauki, wszelkiej szkoły, brak biskupów, mianowicie krakowskiego przez lat 40, upadek seminarjów, niegodziwe wychowanie księży, niemożność sprowadzania książek dla cenzury, która ich przepuszczać nie chciała, mianowicie elementarzy i katechizmów, doprowadziły ludność do ostatniego stopnia ciemnoty, pijaństwa i nienawiści względem tych, których im emisarjusze rządowi przedstawiali jako ich najgorszych nieprzyjaciół i których czynili odpowiedzialnymi za wszelkiego rodzaju przykrości i klęski, nie wykluczając powodzi, pożarów, chorób, nieurodzaju.

Gdy jak mówię owoce tej nienawiści były dojrzałe, nietrudno było rządowi po nie się schylić i tak jak wyschły skwarem las, czy łan zboża, łatwo jedną iskierką podpalić i wszystko w jeden płomień zamienić, tak i byle jaki powód wystarczy, ażeby roznamiętnioną ludność pobudzić do morderstwa jednego, a to pierwsze pociągnie za sobą już całe ich szeregi, a łatwiej dzikim zwierzętom krwią się nasycić, niż ludziom, kiedy raz w niej zasmakują.

Nie pamiętam dzisiaj od czego się rozpoczęła rzeź galicyjska, ale oświadczono chłopom, że cesarz zawiesił na jakiś czas przestrzeganie Przykazań Bożych; że za każdego szlachcica, księdza, lub dworskiego człowieka, którego chłopi potrafią schwycić, związać i przywieźć do cyrkułu t. j. powiatowego miasta, dostaną 5 zlr. a za zabitego dostaną 10 zlr. Wszystko oczywiście t. j. i wygoda, bo mniejszy kłopot z umarłym jak z żywym i interes, bo lepsze 10 papierków od 5 ciu, przemawiało za dobijaniem prędkiem ofiar i za dostawianiem samych trupów.

Droga Ojcu wypadła na Tarnów, gdzie najstraszniejsze mordy się odbywały. Nie wiedząc co myśleć o pogłoskach, które go dolatywały, pojechał Ojciec z Oleszyc do jakiegoś pana urzędnika austryjackiego, z którym rzecz bardzo wyjątkowa, miał dosyć dobre stosunki. Niestety nie pamiętam jak on się nazywał, ale pamiętam, że Ojciec o nim mawiał, że to człowiek zacny i wykształcony. Był on właśnie takim naczelnikiem cyrkułu.

Skoro zobaczył Ojca, zawołał do niego z przerażeniem: „A pan co tu robisz, na Boga nie pokazuj się“.

Ojciec tłumaczy mu, że był w Oleszycach, że chce wrócić do Księstwa Poznańskiego i że przyjechał do niego, ażeby się od niego prawdy dowiedzieć i poradzić, co począć. „Najprzód nie siedzieć w Oleszycach, bo ta rzeź się rozprzestrzeni po całej Galicji, a potem nie czas będzie wyjeżdżać".

Ojciec mu dowodzi, że w Oleszycach czuje się zupełnie bezpiecznym. A on na to: „Wszak i inni czuli się bezpieczni, bo nikomu nigdy krzywdy nie zrobili, ale wtedy, to nie ich włościanie, ale sąsiedni napadli".

Ojciec pyta czy prawda, że rząd płaci po 5 i 10 flr. od głowy. Pan X odpowiada, że prawda „Ależ w takim razie" mówi Ojciec, „jeżeli wy nakazujecie mordy, to wy możecie im przeszkodzić". Niczemu przeszkodzić nie możemy my, urzędnicy niżsi, rozkazy przyszły z góry, samibyśmy padli w podejrzenie, gdybyśmy przeszkadzać im chcieli". I dalej namawia Ojca żeby uciekał. „Którędy" pyta Ojciec, „żona musi z dzienników wiedzieć co się dzieje, muszę do niej wracać i czemprędzej, jest niezdrową i nie zniesie tego strachu".

Pan X widząc, że nie może Ojca odwieść od powziętego zamiaru, wsiadł z nim do pocztowego wozu i powiedział: „Odwiozę Cię poza Tarnów, może obronić potrafię". I tak na swój mundur zarzucił ogromny austrjacki płaszcz, czapkę zaciągnął na głowę i razem pojechali.

Przez całą drogę spotykali pijanych chłopów z dzidami, siekierami, zbroczonemi krwią sukmanami, wozy z zabitemi księżmi, dziećmi, kobietami, ale przez którąś wieś przejeżdżając gościńcem, nie wiem czy nie Makowę, bo pod samym Tarnowem, dyliżans się zatrzymał, bo zgraja rozbójników na samejże drodze wszelki ruch niemożebnym czyniła.

Austryjacki urzędnik szepce Ojcu, żeby się w głąb pojazdu ukrył. Noc była ciemna, tu i ówdzie ludzie z pochodniami się kręcili i światło rzucali na najstraszniejszy widok rzeźi.

Zaczęto krzyczeć na pocztyljona pytając kogo wiezie. Odpowiedział tytułem tego urzędnika. „A niema tam jakiego cywilnego? Pan X w mgnieniu oka zarzuca swój biały płaszcz na ramiona Ojca i czapkę swoją urzędową wkłada mu na głowę i sam we drzwiczkach staje, mówiąc, żeby przepuścili.

Krzyczą, że jest cywilnym, że jest przebranym szlachcicem, zmuszają żeby wysiadł z dyliżansu; musi im pokazać swoje papiery, że jest w istocie urzędnikiem i nareszcie dają mu wsiąść napowrót i puszczają dalej.

Gdy się wrócił do powozu miał buty po kostki zbroczone skrzepłą krwią.

Niewiadomo czy Ojca wcale nie zauważyli, czy też ten wielki biały płaszcz ich zaspokoił, czy tego pana posądzili, że jest Polakiem właśnie dla braku tego płaszcza, dość że wcale na mego Ojca uwagi nie zwrócili i że mogli prawdziwie cudem szczęśliwie ujechać.

Wyszła niedługo potem broszurka pod tytułem: „Lettre d'un gentilhomme polonais au Pce de Metternich".

Wszyscy wogóle myśleli, że to Ojciec ją napisał. Ojciec mawiał, że nie jest autorem tej broszury, ale chętnieby się do tego autorstwa przyznał.

Łatwo sobie wyobrazić, w jakim niepokoju wyczekiwałyśmy Ojca, a gdy przyjechał, co zaboleść i co za oburzenie wszystkich ogarnęły.

Tegoż roku 1816 urodziła się siostra moja Anna, w sam dzień Zaduszny, a że się urodziła przedwcześnie, zdawało się, że żyć nie będzie, więc pospiesznie posłano po proboszcza Ks. Janickiego, którego z cmentarza wywołano, ażeby przyszedł ją ochrzcić.

Wiele rozmaitych okoliczności towarzyszyło temu przyjściu na świat. Rodzice moi rozmaite mieli smutki i utrapienia i bolesne mi to zrobiło wrażenie.

Co więcej, wydało mi się, że choroba Matki przyszła bardzo niewporę, kiedy właśnie potrzeba jej było zająć się tem małem i słabem dzieckiem. Zdawało mi się, że dosyć jednego kłopotu naraz, ale dwa jednocześnie, to według mnie było nadto.

Przytoczymy tu, w nadziei że to zajmie nasze czytelniczki, wrażenia z podróży odbytej do Lourdes, przez jednę z naszych mło dych współpracownic.

Wiedeń.

Słyszałam o nim, że miły i ładny, ale nie przypuszczałam, że do tego stopnia. Wprost wierzyć trudno, żeby ta ciężka rasa ludzi mówiąca po niemiecku, mogła mieć miasto o tak lekkim stylu i tak bajecznie mało symetryczne. Ten brak symetrji jest spoczynkiem dla oka, zwłaszcza gdy się było przygotowanym na coś w rodzaju Berlina, gdzie każdy dom jest tak bezgranicznie niegustowny, spłowiały mimo czystości.

Wiedeń taki jasny, pogodny i wiedeńczycy mają odpowiedni mu wyraz. Wprawdzie wiedenki mają te typowe olbrzymie stopy i kościste figury, ale wiedeńczycy są elastyczni, zgrabni, nie mają tych kwadratowych pruskich ramion.

We Wiedniu ludzie są tak uprzejmi, że ze zdziwieniem na to patrzałam. Ludzie najrozmaitszych stanów, by udzielić mi informacji, nietylko grzecznie odpowiadali, ale trudzili się ze mną. Przypomnieli mi paryskich policjantów swoją uprzejmością.

Pewno nie mówię nic nowego, ale to dla mnie nowe wrażenie z którem się dzielę.

Tyle tu kościołów, a w nich prócz mszy wczesnych, mężczyźni jeśli nie przewyższają to dorównywują kobietom w ilości.

Co dzień rano podczas pierwszej mszy św. wystawienie Najśw. Sakramentu, a po obiedzie, koło 5-tej błogosławieństwo z wystawieniem.

Spotkałam rzadką w stolicy cześć dla różnych obrazów M. B. W kościele katedralnym św. Stefana jest za kratą cudowny obraz M Boskiej. Ludzie z inteligencji, nawet mężczyźni, otaczają go świecami i ze czcią rękoma pocieraja o kraty. W kościele OO. Jezuitów jest cudowny obraz św. Judy Tadeusza. Zarówno przed tym obrazem, jak

innym św. Antoniego, zamiast wotów przybijają do ścian kościoła marmurowe tabliczki z napisami dziękczynnemi.

U OO. Jezuitów jedna trzecia obita temi tabliczkami robi to dziwne wrażenie grobowca.

Z Zakopanego wyjechałam pośród śniegów. W Wiednin zastałam drzewa pokryte pąkami, a gdzieniegdzie na klombach pierwsze kwiaty. Powietrze pachniało wiosną.

Wenecja.

O 10 ½ wyjeżdżałam z Wiednia, spałam do pół do 6, a potem z prawdziwą rozkoszą przyglądałam się krajobrazom. Niebo z początku pokryte chmurami, powoli błękitniało i nagle z za chmur ukazało się słońce, oświetlając góry, pola, łąki i ciepłemi promieniami zdawało się mówić „pamiętajcie, że wiosna już". Hen zdala majaczyły góry pokryte śniegiem.

Góry to nie takie jak w Tatrach, ale łagodne, faliste. W promieniach słońca wyglądały jak srebrne.

Pociąg mknął szybko, aż zawrotnie, mijając coraz wspanialsze jeziora. Są one tak duże, że nieraz spory czas upływa, zanim pociąg zdoła je minąć. Jeziora te są obrośnięte kępami traw i trzcin. Czasami brzegi są otoczone prześlicznemi bielonemi pałacykami. A pałacyki te wyglądają jak w bajce. Nieraz stoją na wzniesieniach podobnych do niedostępnych skał, mają ponure ciemne wieżyce, stoją w cieniu smukłych cyprysów, które wyglądają jak straż pilnująca w zamku zaklętej księżniczki.

Inne znowu są lekkie, uwieńczone mnóstwem wdzięcznych lekkich wieżyczek, otoczone są palmami, ozdobione krasą kwitnących ogrodów. Dachy tych will i pałacyków są prawie płaskie.

Wprawdzie rzadko tylko drzewa miały już liście, ale niektóre pokryte były białem lub różowem kwieciem. Łąki tonęły w świeżej pachnącej zieleni.

Tak zajechałam do Tarvizio, granicznego miasteczka Włoch. Na dworcu ujrzałam 2-ch faszystowskich żołnierzy.

Z początku przyglądałam im się z zaciekawieniem, z zajęciem, ale wkrótce byłabym ich, wyraziwszy się dosadnie „wystrzeliła z armaty".

Na każdym dworcu stoi 2-ch takich drabów; przyglądają się każdemu od stóp do głowy i to tak bezczelnie i nietaktownie, że człowieka złości biorą.

Miałam czas na dłuższych przystankach przyglądać im się z okien wagonu. Czasem gdy przyjdzie im ochota, staną sobie obok 2-ch osób rozmawiających ze sobą, w oddaleniu pół kroku, mrugają do siebie, patrzą, podsłuchują i to z tak badawczą miną, jak gdyby byli w pogoni za jakimś słynnym bandytą. Ruchy ich przytem są tak sztywne i powolne, że jaskrawo odbijają od otoczenia. Miny mają zarozumiałe.

Na szczęście niewiele miałam okazji przyglądać się im gdy wychodziłam z wagonu, bo tak żywo musiałam do wszytkich znanych mi języków dorabiać włoskie końcówki, by być zrozumianą, że nie miałam czasu na obserwacje.

Tarvizo mała to mieścina, ale wysiadłam. Z dworca do kościoła prawie pół godziny.

Znowu okolica przecudna i gdybym po drodze nie spotkała jakiegoś faszysty, miałabym złudzenie, że jestem w niemieckiej Szwajcarji, gdzieś na drodze do Saas Fee lub Zermathu koło Mont-Cervin lub Breithornu.

W okolicach tych lud mówi raczej po niemiecku i z przychylnością odpowiadano mi, gdy się zwracałam w języku niemieckim.

Gdy przyszłam do kościoła było już dawno po mszy św., ale staruszek proboszcz chętnie dał mi komunję św.

Ci proboszczowie w górach, a więc i w Szwajcarji, zwłaszcza starzy, mają tyle serdecznej, dziecięcej prostoty, tyle zaufania do ludzi bije z ich oczu, że mimowoli pomyślałam sobie: tego rodzaju musieli być bracia z otoczenia św. Franciszka z Assyżu. Wogóle ludzie są tu mili, swojscy, ale nie tak zgrabni, nie mają bystrych oczu naszych tatrzańskich górali.

Koło 6 wieczorem przybyłam do Wenecji. Wsiadłam na statek i kazałam się zawieźć w pobliżu placu św Marka.

Było cicho. Nie przeszkadzał gwar automobili, ani tramwaji. Ciszę przerywał jedynie szum wody i plusk wioseł. Powoli zapadał mrok. Mijaliśmy w tej tajemniczej ciszy, wspaniałe średniowieczne kościoły i pałace niekiedy marmurowe. Widok był coraz cudniejszy. Płaskie dachy miały rzeźbione gzymsy, które rysowały się wyraźnie na tle zwolna ciemniejącego nieba. A hen hen w dali, biły dzwony wolno, uroczyście. Po chwili z pobliża, odpowiedziały im drugie, tonem jaśniejszym, pogodniejszym. Dołączyły się trzecie, czwarte i t.d.

Chwilę trwała ta dzwonów muzyka — przerwała ją cisza. A do ciszy tej skupionej dołączał się zwolna jej bratni tajemniczy zmrok.

Zadrgały światła pośród kolumn i arkad pałacy. Światełka we wodzie ujrzały swe odbicie. I jakgdyby uszczęśliwione własnym widokiem, cudem jakoby wywołały znowu ową tajemniczą orkiestrę dzwnów.

Wysiadłam, idąc wzdłuż wązkich średniowiecznych ulic, mijając arkady, portyki, za któremi błyszczały jasno oświetlone sklepy, stanęłam na placu św. Marka.

Było już ciemno. Wieże bazyliki rysowały się wyraźnie na szarem niebie. Mimo ciemności białością lśniący marmur nowej bibljoteki i pałacu dożów z różnorodnością rzeźb i cudownych płaskorzeźb, upoił mi wzrok.

Z boku przed kościołem wysoka wieża zdawała się niby straż bronić ukrytych, bajecznych skarbów.

Po obu stronach olbrzymiego placu dwa sznury świateł z pierwszorzędnych restauracji i wystaw sklepowych.

Weszłam do ciemnego mrocznego kościoła. Z zachwytem patrzałam na to mnóstwo linji, kształtów tonów.

Dziwne, że ci Włosi, pierwsi po Bogu twórcy tych cudów, byli jedynymi, którzy psuli nastrój bajecznego miasta. Niech mówią co chcą, co do mnie ja pochylam czoło przed kulturą angielską.

Podziwiałam już w Szwajcarji niemy zachwyt anglików wobec olśniewającego piękna przyrody i podziwiałam ich stosunek do ko-

biet, prostotę w zachowaniu, religijność. — Ale nigdy nie widziałam, u tych pozornie zimnych ludzi, tyle entuzjazmu dla prawdziwego piękna, tyle entuzjazmu, zachwytu i zapomnienia o sobie posuniętego do pokory, ile u anglików w Wenecji. W Wenecji łatwo się dorozumiałam wszystkiego, bo dużo tu obcych narodowości. (d. c. n.)

I. S.

Wiadomości.

Dzień 3-go maja uczenice nasze obchodziły uroczystem nabożeństwem w kościele parafjalnym. Z powodu deszczu nie mogły wziąć udziału w odczycie, który się odbył w godzinach popołudniowych, ani też być na przedstawieniu „Racławic", które miało miejsce wieczorem.

W kilka dni później, kiedy pogoda się poprawiła, a przedstawienie zostało powtórzone, prawie wszystkie uczenice udały się na nie do Zakopanego, niemała to była radość i rozrywka niezwykła. Trzeba przyznać, że przedstawienie wyszło bardzo dobrze, część dekoracji i kostjumów sprowadzona była z Krakowa, aktorzy grali doskonale. Bawiło widzów rozpoznawanie w nich osobistości miejscowe, bo zespół złożony był z amatorów. Nastrój wywołany tem przedstawieniem był patrjotyczny poważny i szlachetny. Byłoby do życzenia, żeby tego rodzaju przedstawienia częściej miały miejsce.

Przełożona p. Justyna Zaleska z kilkoma uczenicami i kilkoma pracownicami Zakładu, pojechała do Częstochowy, na uroczystość wręczenia berła M. B. Częstochowskiej przez polskie kobiety. Natłok był tak wielki, że ani p. Zaleska, ani p. Zamoyska, mimo biletów nie mogły być w kaplicy w czasie nabożeństwa, stojąc nazewnątrz kościoła słuchały mszy odprawiającej się na wałach klasztoru.

Tłumy otaczały klasztor i wały i modliły się w głębokiej ciszy i skupieniu. Ta cisza głęboka tego licznego tłumu ludzi, atmosfera modlitwy i skupienia, podniosłe czyniły wrażenie. Uczennice nasze brały udział w pochodzie niosących berło. Trzymały one sztandar kuźniczanek, na którym z jednej strony był obraz M B. Dobrej Rady, a z drugiej godła potrójnej pracy: krzyż, księga i kądziel wyobrażające pracę duchową, umysłową i ręczną.

Intencja.

Modlić się, ażeby dobro wzięło górę nad złem i żeby Bóg wszechmocą swoją ze złego wyprowadził dobro.

Praktyka.

Szerzyć ducha jedności i miłości. Wspierać przemysł krajowy nie kupując towarów zagranicznych, poprzestawać na wyrobach krajowych.

Wydawca: Zakład Kórnicki — Szkoła domowej pracy Kobiet w Zakopanem

Redaktorka: Aniela Strawińska — Zakopane, Kuźnice

Z drukarni Towarzystwa Św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowem.